

Nigdy więcej nie wykonam procedury in vitro

- Mogłem to jeszcze przemyśleć. Ale wiedziałem, że nie zostanę przy programie in vitro ani minuty dłużej, z uwagi na szacunek dla życia. Świadek doktor Tadeusz Wasilewski.

Rozpocząłem leczyć bezpłodność małżeńską, gdy od siedmiu lat byłem już lekarzem medycyny. To było dokładnie 1 kwietnia 1993 roku. Zacząłem zdobywać wiedzę na temat niepłodności i nie ukrywam, że bardzo mnie to pociągało. Była to medycyna bardzo wysublimowana, bardzo cząstkowa. Medycyna, która rzeczywiście daje dużo satysfakcji kiedy wyniku pomocy lekarza pojawia się dziecko. Ale jest to również medycyna, która powoduje dużo frustracji, kiedy tego dziecka nie ma. Jest to codzienna, żmudna praca. I chcę, żebyście Państwo wiedzieli, że jest to praca w soboty i w niedziele, w Boże Narodzenie, w pierwszy dzień i drugi dzień Wielkanocy, bo jajczkowanie nie czeka i lekarz musiał być cały ten czas dyspozycyjny. Musi więc to kochać. Musi wiedzieć, że idąc do pracy realizuje siebie jako osobę, jako lekarza, realizuje się zawodowo.

Podczas tej pracy poznałem problem, jakim jest niepłodność małżeńska. Otóż dzisiaj oddziaływanie tego problemu na osobę ludzką porównywane jest do oddziaływania takiej wady wrodzonej, którą możemy zobaczyć na ulicy. Ludzie się tego wstydzą, nie chcą o tym mówić. Rozmawiają między sobą wtedy, gdy wiedzą, że rozmówca ma te same kłopoty. Otwierają się w gabinecie lekarskim. Jest to bardzo intymne. Jest też często – tak wynika z moich obserwacji – bardzo upokarzające dla danej pary małżeńskiej. Oni czują się gorsi. Oni się czują inwalidami w społeczeństwie. Ich pragnienie posiadania potomstwa nie może się zrealizować.

Celowo używam sformułowania – pragnienie posiadania potomstwa. Bo kiedyś mówiłem – prawo do potomstwa. Bycie ginekologiem w klinice leczenia niepłodności, to nie tylko bycie takim fizycznym lekarzem. Badanie USG, badania kliniczne, badania hormonalne, zastrzyk... następna pacjentka proszę. Tak pracując, nigdy nie osiągniemy sukcesu. Bycie ginekologiem leczącym niepłodność, to bycie człowiekiem z wielkim sercem, pracującym miłością, pracującym cierpliwością, To wielokrotnie umiejętność doznawania uczucia pokory i spuszczenia głowy, bo natura jest silniejsza. Tego uczyła mnie codzienna moja praca. W trakcie kilkunastu lat pracy w tej klinice poznałem wielu ludzi z całego świata. Przyjeżdżali do naszej kliniki ludzie z całej Polski. Ze Szczecina, z Zakopanego, z Wrocławia, z Poznania. Przyjeżdżali również Polacy mieszkający w Stanach Zjednoczonych, mieszkający w Kanadzie. Nawet mieliśmy taką pacjentkę, która przyjechała do Białegostoku z Nowej Zelandii. Mówię o tym celowo, bo chcę Państwu uzmysłowić, jak mocno zdeterminowani są ludzie, którzy starają się o upragnione dziecko, a nie posiadają tego dziecka.

Ktoś zauważył na początku mojej pracy, że mam dużo cierpliwości. Musiałem mieć jej rzeczywiście wiele, bo zacząłem uczyć się rozumieć tych ludzi. Nie można uciąć z nimi rozmowy ot tak sobie, w połowie zdania, bo jeszcze czeka 10 pacjentek. Można tą rozmowę skrócić, ale nie raniąc tego człowieka. Tak sobie cały czas wyobrażałem bycie lekarzem i w tej kwestii nic się nie zmieniło. Pracując w klinice leczenia niepłodności małżeńskiej miałem możliwość uczestniczenia w różnych zjazdach, kongresach odbywających się na całym świecie. Wielkie sale, wielkie gale, wielkie przyjęcia, mieszkanie w eleganckim hotelu, zwiedzanie świata, poznawanie ludzi. Tam są ogromne pieniądze, bo taki właśnie, ogromny, jest przemysł leczenia niepłodności. Tak to wygląda. Nie mówię, że to było naganne. Te zjazdy, kongresy, to były momenty kiedy można było wymienić informacje, kiedy można

się było wiele nauczyć i poznać naprawdę fantastycznych lekarzy. Chcę również powiedzieć, że w klinice, w której pracowałem, ludzie, którzy mnie otaczali, byli naprawdę oddani swoim pacjentom. Bo przyjdzie w sobotę, czy w niedzielę do pracy, przyjdzie do pracy po południu, takie naprawdę bezinteresowne wymagało tego, żeby być sprawie oddanym. Nie ukrywam, że praca w klinice leczenia niepłodności była pracą bardzo intratną. Tam były naprawdę duże pieniądze. Jak zapewne wiecie, problem leczenia niepłodności u małżeństwa pochłania duże pieniądze. Niejednokrotnie małżeństwa, aby móc podjąć leczenie, muszą sprzedać dom, muszą wziąć kredyt, muszą się zapożyczyć u rodziców lub znajomych.

Mówiłem już o pokorze, bo nie ma metody leczenia niepłodności, która daje pewność, że się powiedzie. Pan Bóg obdarzył naszą rodność określonym prawdopodobieństwem poczęcia dziecka w jednym cyklu. Ktoś wyliczył posiłkując się statystyką, że prawdopodobieństwo poczęcia dziecka w jednym cyklu wynosi około 20 procent. Wobec tego człowiek nie znalazł jeszcze metody skuteczniejszej od natury. Każde „dotknięcie” cyklu, próba pomocy małżeństwu w doprowadzeniu do ciąży to tylko zbliżanie się do tego wskaźnika. Oczywiście są metody, które przewyższają ten wskaźnik, ale o tym za chwilę. I to prawdopodobieństwo, które nie jest stuprocentowe to na 5 par małżeńskich, 4 pary wrócą z powrotem i zapytają: co mamy dalej robić? Jedna para, która będzie miała więcej szczęścia, przyjedzie z uśmiechem od ucha do ucha i będzie dziękowała za okazaną pomoc. Ludzie są wdzięczni i bardzo dziękują, gdy dochodzi w końcu do ciąży. Pozwolę sobie Państwu przeczytać kilka listów

„Dziękujemy zespołowi, a w szczególności panu dr. Tadeuszowi Wasilewskiemu, że dopomogli nam zostać rodzicami. Dziękujemy, że oprócz fachowej wiedzy medycznej ofiarowali nam Państwo dużą dawkę serdeczności i zrozumienia. Już Mama i Tata.”

„Wiem, że już dawno obiecałam Panu ten list. Najważniejsze jest to, że chciałam Panu z całego serca podziękować za tą ciążę. Jestem pewna, że udało się tylko dlatego, że Pan kierował lekarzami i wykonał zabieg. Jest Pan wspaniałym lekarzem i ma Pan idealne podejście do pacjentek. Proszę podziękować w moim imieniu Pana szefowi, że zatrudnia takiego lekarza jak Pan. Nie umiem niestety wyrazić całej mojej wdzięczności.”

„Szanowny Panie Doktorze! Z wielką radością informuję, że w styczniu 2004 roku przyszła na świat nasza córka Amelka. Amelka urodziła się z pięknymi, czarnymi, długimi włosami, ma śliczne niebieskie oczka. Jest dzieckiem spokojnym, pogodnym, lubi dużo zjeść. Panie Doktorze jeszcze raz bardzo dziękuję, że wierzył Pan w sukces. Szczerze powiem, że ja już za drugim razem nie wierzyłam, iż się uda. Namawiałam już nawet męża do adopcji. Ale to dzięki Panu spełniło się nasze największe marzenie. Jeszcze raz serdecznie dziękuję.” Dzisiaj ten list rozumiem inaczej, ale o tym za chwilę.

„Szanowny Panie Doktorze! Piotruś urodził się w październiku 2004 roku poprzez cięcie cesarskie. Rośnie jak na drożdżach. Jest zdrowy, pogodny i cudny. Nie potrafię powiedzieć jak bardzo jesteśmy Panu wdzięczni za pełne życzliwości traktowanie nas przez 2 tygodnie w Białymstoku. To był bardzo trudny okres, a Pan spowodował, że było nam tam łatwiej. Za rok będziemy starali się o kolejne dziecko i nie wiem, czy uda nam się zająć w sposób naturalny. Jeśli nie, to nie wyobrażam sobie, żeby miał się zająć mną inny lekarz.”

To były sygnały, które utwierdzały mnie w tym, że robię dobrze. Pomimo tego, że znałem środowisko katolickie, środowisko kolegów, z którymi utrzymywałem kontakt, którzy mi mówili, że może jednak

nie. Nie robili tego jednak z przekonaniem. Moja świadomość takiej pomocy ludziom była za TAK, byłem przekonany, że to metoda słuszną, dobrą, przynoszącą właśnie taką radość, jaką widać w przytoczonych przeze mnie listach.

Przyszedł 2007 rok, to było w lutym. Spojrzałem inaczej. Dzisiaj wiem, że to była łaska Pana Boga, a ja się poddałem Jego woli. Poszedłem zgodnie z Jego zamierzeniami. Dzisiaj już wiem o tym na pewno.

Zielone korony drzewa to te listy. To jest ta radość i to szczęście, że dziecko jest na świecie. To drzewo, które niestety obok umarło, to są te dzieci – zarodki, które niestety nigdy nie trafiły do jamy macicy. Zginęły w wyniku zastosowanej technologii, w wyniku zamrażania. Bo po rozmrożeniu nie wszystkie zarodki żyją. Widziałem to, jakbym patrzył na kawałek strony zapisany małymi literkami przez szkło powiększające. To we mnie tak mocno tętniło, że wiedziałem, że nie mogę tam pracować ani minuty dłużej. Nie tylko w tej klinice, ale także w żadnej innej klinice, która wykonuje program in vitro. Wiedziałem, że jestem tam inwalidą. Nawet poszedłem do swojego szefa, ponieważ nadzorowałem cały zespół. Nie chciałem mu zrobić krzywdy, nie chciałem zrobić krzywdy pacjentom. Powiedziałem mu o tym. Po godzinnej, czy dwugodzinnej rozmowie doszliśmy do tego, że powinienem odpocząć. Ja się bardzo chętnie na to zgodziłem, bo to ciężka praca i ten odpoczynek był mi potrzebny. Wiedziałem, że mogę sobie coś jeszcze przemyśleć. Ale wiedziałem, że nie zostanę przy programie in vitro ani minuty dłużej, z uwagi na szacunek dla życia. Z uwagi na to, że ten zarodek, który ma 2 czy 4 komórki, to potencjalnie każdy z nas w przeszłości. On też chce żyć. On też chce, by dać mu szansę, by trafić do mamy i do taty. Jeżeli w programie in vitro chcemy osiągnąć szansę 35-45 proc., musimy na wstępie, przed transferem zarodków, mieć ich sześć, albo osiem. Już mniejsza liczba zarodków nie daje nam takiej szansy. Małżeństwo żąda tej szansy, bo płaci pieniądze. My zaś chcemy, aby nasz ośrodek dobrze się pokazywał. Nie chciałem brać na swoje sumienie tego martwego drzewa.

Korzystając z mojego odpoczynku od pracy postanowiliśmy pojechać z żoną do Zakliczyna. To jest taka mała miejscowość koło Krakowa, gdzie jest klasztor sióstr bernardynek. Siostrą przełożoną tych sióstr jest s. Cecylia, którą znaliśmy wcześniej. Tam jest cicho i spokojnie. Można tam uklęknąć przed figurą Pana Jezusa i w samotności się modlić. Tam można w grupie 5-10 osobowej uczestniczyć codziennie we Mszy. Można tam popatrzeć na swoją duszę. Bo każdy z nas ją ma. Ja już wiedziałem o tym. Wiedziałem jaka była moja świadomość sprzed roku i jaka jest dzisiaj. Wyobraźcie sobie Państwo, że po drodze do Zakliczyna zajechaliśmy do Częstochowy, na Jasną Górę. Weszliśmy do kaplicy Matki Boskiej. Klęknąłem, spuściłem głowę, zamknąłem oczy. Modliłem się. W pewnym momencie otworzyłem oczy. Pewnie większość z Was wie, że tam są takie filary, a na nich są obrazy. Jak podniosłem głowę i otworzyłem oczy, to pół metra przede mną był obraz syna marnotrawnego, którego Ojciec przyjmuje na progu wracającego do domu. Ten obraz był w owym czasie znakiem dla mnie. Ja dzisiaj jestem dla Państwa znakiem.

Po powrocie z Zakliczyna do Białegostoku nie miałem żadnych wątpliwości. Podanie było napisane i 31 marca 2007 roku wyszedłem na ulicę. Opuściłem mały gabinet, w którym pracowałem 2-3 razy tygodniowo, po 3-4 godziny. A powodziło nam się bardzo dobrze. Jak to wszystko utrzymać? Ale to w ogóle nie było ważne. Życie! Życie jest moim celem!

Był taki moment, że bałem się stanąć na trawę, żeby nie zniszczyć pod swoją stopą nic co tam jest i co się rusza. To było najważniejsze. Nie to, co się stanie dalej z moim własnym życiem w sensie dobytku itd. Jeszcze wcześniej, żeby postąpić zgodnie z wolą swojej rodziny, przed złożeniem podania rozwiązującego moją umowę o pracę pojechałem do domu, zjadłem obiad i zapytałem mojej żony i

doroŝłego juŝ syna, czy zgadzają się pójść za mną nawet wtedy, kiedy ja nie będę potrafił ich utrzymać. Odpowiedź była jednoznaczna. Tak. To mnie bardzo mocno zbudowało.

Znalazłem pracę. Pracowałem 5 – 6 godzin dziennie i to pozwoliło mi przetrwać ten okres, w sensie materialnym. Pozwalało mi to też zapomnieć o mojej śmierci dla mojego wcześniejszego życia zawodowego. Musiałem urodzić się jeszcze raz. Ale jak się jeszcze raz urodzić, żeby nie zrobić błędu, żeby iść zgodnie z wolą Boŝą, żeby nie popełniać grzechów, które mnie zdyskwalifikują. Chcę być dobrym lekarzem i dobrym człowiekiem. A może tylko dobrym człowiekiem, myślącym o sobie i swojej duszy. A pacjenci trudno – znajdą innego doktora. Był taki moment gdy myślałem o porzuceniu zawodu lekarza. Bodajże w lipcu lub wrześniu 2007 roku zadzwoniła do nas Pani Doktor Łazerska, która zapytała, czy wiem co to jest naprotechnologia. Oczywiście nie wiedziałem, zaczęliśmy szukać. Okazało się, że to jest leczenie niepłodności. Można wykorzystać naturę. A natura to jest szacunek do życia. Gdzie się tego nauczyć?

W 2006 roku, pół roku przed moim odejściem z kliniki moja ŝona wykupiła pielgrzymkę do Jerozolimy dla dwóch osób. Wiem teraz, że to nie był przypadek. Na pielgrzymkę pojechaliśmy na przełomie kwietnia i maja. Czyli miesiąc po moim rozstaniu z kliniką. Idąc po śladach Chrystusa, po śladach Apostołów widzieliśmy te miejsca, gdzie rodziło się chrześcijaństwo. Gdzie Pan Bóg pokazał ciałem swojego Syna, że Istnieje. To była piąta Ewangelia. Nie ukrywam, że zrobiło to na mnie ogromne wrażenie. Jerozolima. To, co Państwo widzicie na slajdzie, to posąg Pana Jezusa i św. Piotra. – Pójdźcie za mną a sprawię, że staniecie się rybakami ludzi – mówi Pan Jezus. Docierało to do mnie znowu przez szkło powiększające. Nie mogę rzucić zawodu lekarza. Powinienem pracować i wykorzystać to, czego się nauczyłam przez kilkanaście lat. I znowu powstaje pytanie, jak to zrobić? Wracam do naprotechnologii.

Juŝ znam to słowo. Juŝ wiem, że w następnym roku będzie w Rzymie zjazd organizowany przez profesora Thomasa Hilgersa. Juŝ wiem, że istnieje w Polsce Piotr Klimas. Juŝ wiem, że jest Sekcja Ginekologiczno-Położnicza Katolickiego Stowarzyszenia Lekarzy. Juŝ wiem, że jest prof. Bogdan Chazan, który dał mi grubą książkę o naprotechnologii. Dziękuję Panie Profesorze.

Jedziemy z grupą osób do Rzymu. Słuchamy profesora Chazana, słuchamy prelegentów, poznajemy naprotechnologię bliŝej. Juŝ wiemy, że ona nie jest z kosmosu, że ona nie jest gdzieś tam z XIX wieku. A ja mam świadomość, że to jest porządna metoda. Źe to jest metoda, którą możemy stosować nie oszukując pacjentów i uzyskując to, co w tym wypadku najważniejsze, czyli ciążę. Źe możemy w czasie jej stosowania szanować każde poczęte życie. Źe możemy szanować godność każdego człowieka: i tego dziecka, które implantuje się w jamie macicy i przyszłego taty, i przyszłej mamy. Ale być w Rzymie dzisiaj i nie być przy grobie Jana Pawła II? Przecież on uczył nas szacunku do życia. Jak dzisiaj pamiętam dzień, kiedy był Jego pogrzeb i było słyhać tylko śpiewające ptaki. Nie jeździły samochody, ludzie nie rozmawiali, nie było gwaru i hałasu. Wszystkie prace związane z maszynami ustały. I przyszła taka refleksja: gdy on mówił, tak mocno i mądrze nas uczył, a my go nie rozumieliśmy. Zbuntowałem się i powiedziałem: Nie! Będę go rozumiał. Źałuję, że nie poznałem wcześniej doktor Wandy Półtawskiej. Bo dzisiaj usłyszałem wszystko to, do czego sam przez dwa lata musiałem dochodzić. A doszedłem tylko może do 20 proc. tego, co dzisiaj usłyszałem od Pani Doktor. Ale na naukę nigdy nie jest za późno. Bo dzisiaj mam prawie 50 lat i chcę się nauczyć naprotechnologii.

Oczywiście, można spytać, że skoro Jan Paweł II, to dlaczego nie San Giovanni Rotondo? Dlaczego nie o. Pio? Tam jest wspaniały szpital. Byliśmy tam. Spędziliśmy tam z ŝoną całe dwa dni. Chodziliśmy po

śladach o. Pio. Uzmysłowiłem sobie, jak on swoją postawą mógł zrobić. W sensie duchowym, fizycznym – tego nigdy nie zmierzmy. Oczywiście jako lekarze chętnie zaszliśmy do Domu Ulgi w Cierpieniu. To wielki gmach, wielki szpital. Można pracować fachowo, zgodnie z wytycznymi nauki i nie zatracić wiary. Więc wiara nie jest przeciwieństwem nauki. Ale zrobmy wszystko, aby nauka nie była przeciwieństwem wiary. One się ze sobą nie kłócą. Tego uczyli nas: Jan Paweł II, dzisiaj dr Wanda Półtawska, księża. Ale my lekarze tego zazwyczaj nie słuchamy. Szanowni Państwo zastanawiamy się, jak wykorzystać swoje umiejętności. Zastanawiamy się co zrobić, aby być dalej lekarzem i służyć ludziom, którzy mają kłopoty z poczęciem dziecka. I narodził się pomysł zorganizowania przychodni, kliniki, która będzie świadczyła te usługi posiłkując się naprotechnologią, to znaczy posiłkując się wszystkimi nowoczesnymi metodami, które dzisiaj oferuje nam medycyna klasyczna, nie wykonując programu in vitro. Zamieniamy to na umiejętność obserwacji natury i na dzieleniu się z pacjentami tą umiejętnością. Klinika NaProMedica działa od 1 stycznia 2009 roku. Chcę podziękować swojej współpracownicy, p. mgr Ewie Rucińskiej, że zgodziła się podjąć trud budowy tej firmy. Jeżeli moje świadectwo przysłuży się Państwu do czegokolwiek, to jestem szczęśliwy i dziękuję Panu Bogu, że tak się stało. Dziękuję.

Dr Tadeusz Wasilewski

Opracowała Kinga Banach

* Tekst powstał na podstawie zapisu wystąpienia na konferencji poświęconej naprotechnologii 21 marca 2009 roku w Auli Jana Pawła II Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie.